

Wędrówka po ziemi i niebie

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

WĘDRÓWKA PO ZIEMI I NIEBIE

Bolesław Prus

Pytasz, mój przyjacielu, czy widziałem zaćmienie słońca?

Widziałem i powiem ci, że zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Tak potężne, że chyba nie znajdę spokoju, dopóki nie wygadam się z niego.

Mówisz, że jako ziomkowi Kopernika, znaną ci jest astronomia; nie tak wprawdzie jak urzędowym astronomom z osobną pensją, mieszkaniem, opałem i światłem, ale zawsze dość dokładnie, nawet wcale nieźle.

Lecz jako człowiek skrupulatny natychmiast dodajesz, że w jednej kwestii, tylko w tej jednej, mianowicie zaćmień, doznajesz pewnych trudności. Nie żebyś miał, broń Boże, nie rozumieć, na czym polega zaćmienie, bo to wszystko rozumiesz, ale niby jesteś w tym wypadku nie całkiem f e i n.

Księżyc...słońce ... ziemia ... coś — tego — tędy — owędy — krążą ci po głowie tak szybko, że w rezultacie pomieszały ci się zaćmienia z lunacjami i w żaden sposób nie możesz ich rozplatać.

Wszak byłeś na owej nocnej zabawie we Frascati, kiedy to płaciliśmy po 3 ruble za krzesło warte 10 złotych i jeszcze nie mieliśmy prawa zabrać go z sobą do domu?

Otóż we Frascati, kiedy już dobrze ściemniło się, w alei wejściowej zapalono na słupie światło elektryczne czy magnezjowe, w każdym razie bardzo silne. Na drabince przy słupie stał jakiś mechanik i wywoływał „efekta świetlne”, a my tułaliśmy się po alei między bramą i latarnią. Wszak pamiętasz?

Wówczas, zatrzymawszy się na środku alei, mieliśmy ciekawe widowisko: spacerujący tłum był oświetlony aż trzema sposobami.

Pierwsza grupa, to jest ci, którzy znajdowali się w stronie bramy, a naprzeciw latarni, byli tak wybornie oświetleni, że mogliśmy odróżnić najdrobniejsze rysy ich twarzy. Stali oni dalej od latarni niż my, my więc chcąc ich zobaczyć, odwracaliśmy się tyłem do światła, które też nas nie raziło w oczy. Byli oni tak pełni jasności, że gdyby latarnia nazywała się słońcem, my ziemią, a ci państwo naszymi księżycami, powiedzielibyśmy o nich, że „świecą w pełni”.

Druga grupa, stojąca pod samą latarnią pomimo bliskości światła, była dla nas niewidzialną; chcąc bowiem ją zobaczyć, musieliśmy spoglądać w kierunku elektrycznych blasków, które nas oślepiały.

Ci państwo przedstawiali nam księżyc „w nowiu”.

Byli wreszcie i tacy, którzy przechodzili obok nas w jedną i drugą stronę. Na tych patrzyliśmy z boku i widzieliśmy, że mają jedną połowę ciała oświetloną, a drugą ciemną, zupełnie jak księżyc „w kwadrze”. Ci, którzy szli w stronę bramy, od światła, znajdowali się w „pierwszej kwadrze” — którzy szli do światła — w „ostatniej kwadrze”.

Lunacje więc polegają tylko na tym, że w ciągu miesiąca księżyc okazuje nam kolejno swoje jasno oświetlone lub ciemne strony.

Wtem, o dziwo!... Aleja tonie w mroku, a zamiast jaskrawej latarni widzimy czarny, okrągły

przedmiot, otoczony łagodnym blaskiem. Między krzakami ukazują się nikłe światełka zapalonych papierosów, publiczność krzyczy: ach! ...

Cóż się stało? ... Oto, stojący na drabinie mechanik, któremu zepsuło się coś w aparacie, wysunął głowę przed latarnią, zasłonił ją i wywołał „zaćmienie”.

Zaćmienie więc polega na zasłonięciu słońca.

Gdybyśmy byli ziemią, a mechanik księżycem, mielibyśmy obraz zaćmienia słońca. Gdyby zaś mechanik był ziemią, a państwo wracający od bramy księżycem, na które padł cień mechanika, mielibyśmy zaćmienie księżyca.

W każdym razie, aby wywołać jakiegokolwiek zaćmienie, trzeba, ażeby słońce, księżyc i ziemia znajdowały się razem na jednej linii prostej. Wówczas, gdy księżyc stoi między ziemią i słońcem (nów), mamy zaćmienie słońca; gdy zaś ziemia stoi między słońcem i księżycem (pełnia), mamy zaćmienie księżyca.

Księżyc jednak nader rzadko znajduje się na jednej linii z *ziemią* i słońcem, nader rzadko wchodzi na drabinkę do wysokości latarni. Zwykle spaceruje on niżej niby gość po alei albo wyżej od latarni jak wiewiórka skacząca po wierzchołkach drzew. I dlatego zaćmienia trafiają się nieczęsto.

Ponieważ mechanikowi z Frascati nieraz psuła się jego cudowna latarnia, mieliśmy więc w ciągu wieczora kilkanaście zaćmień. Wszystko za 3 ruble i jeszcze z krzeselkiem w dodatku.

Drugą kwestią, która cię męczy w sprawie zaćmień, szczególnie słonecznych, jest ta, dlaczego one trafiają się tak rzadko — i jakim sposobem można je przepowiadać?

Wyobraź sobie, żeś stanął na środku podwórza w kamienicy, która ma cztery oficyny: frontową, tylną, prawą i lewą. Otóż dom ten należy do dwu braci, wielkich dziwaków.

Jeden brat, starszy i otyły (słońce), mieszka i spaceruje tylko po pierwszym piętrze, ale po wszystkich oficynach co kwartał w innej. Widzisz go, jak powoli z tylnej oficyny przechodzi do prawej, z prawej do frontowej, z frontowej do lewej, z lewej znowu do tylnej i po upływie roku wraca do tej samej, gdzie go pierwszy raz spotkałeś. Jest zaś tak systematyczny, że poznawszy bliżej jego zwyczaje, z góry możesz powiedzieć, iż dnia 19 sierpnia będzie np. widzialny w drugim oknie lewej oficyny. Taki nudziarz.

Za to młodszy jego brat (księżyc) jest już skończonym wariatem. On także przenosi się coraz do innej oficyny, ale robi to co tydzień. Tydzień mieszka we frontowej, tydzień w lewej itd. Tak że znowu bez trudu możesz przepowiedzieć, którą oficynę zajmie od dziś za dziesięć albo za 50 tygodni.

Robi on gorszą rzecz, gdyż zmienia nie tylko oficynę, ale i piętro. Jeżeli dziś np. mieszka we frontowej oficynie na drugim piętrze, to za tydzień przeniesie się do lewej oficyny na pierwsze, za dwa tygodnie zjeżdża do tylnej oficyny na parter, w trzecim tygodniu sprowadza się znowu na pierwsze piętro, ale do prawej oficyny, a w czwartym na drugie do frontowej i tak wciąż z góry na dół i z dołu do góry.

Ponieważ starszy brat nigdy nie opuszcza pierwszego piętra, a młodszy bywa na nim dwa razy miesięcznie, nie dziw więc, że od czasu do czasu bracia się spotykają. I może trafić się, że młodszy brat, spotkawszy starszego, stanie między nim a oknem i na chwilę zasłoni go przed tobą, „zaćmi” jego jaśnie oświeconosc.

Istotnie trafia się tak, ale rzadko i nieregularnie.

Rodak Kopernika, znany z niecierpliwości, widząc tę wariacką bieżącą księżyca, machnąłby ręką i powiedział:

— Z tym już ładu nie dojdę. — Ale cierpliwi astronomowie chaldejscy, przestudiowawszy ruchy wariata, doszli do wniosku, żei w nich panuje pewien system. Oto ów młodszy brat po 18 latach powtarza swój spacer w takim samym porządku, jak go odbywał przed 18 laty, a co więcej, prawie

w takim samym porządku spotyka się na pierwszym piętrze ze starszym bratem słońcem, zakrywa go przed oczyma podwórkowych widzów.

Na tym prawidłowym powtarzaniu się ruchów starszego brata i młodszego polegała możliwość przepowiadania zaćmień, jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Dziś są sposoby nieskończenie dokładniejsze.

W sumie więc zapamiętaj, przyjacielu, dwa główne warunki słonecznych zaćmień:

Księżyc i słońce muszą znajdować się w tej samej oficynie, tj. w tej samej konstelacji na niebie. Jest wówczas nów.

Księżyc musi być na tym samym piętrze co i słońce; A że na niebie piętro zajmowane przez słońce nazywa się ekliptyką, więc księżyc musi być na ekliptyce.

Dla czytelnika ważniejszymi od teorii astronomicznych są uczucia, jakich człowiek doznaje podczas zaćmień. Opowiem ci to, mój przyjacielu, jak przed księdzem, ażebyś choć niedokładnie mógł je sobie odtworzyć.

Część astronomiczną zaćmienia znaliśmy od dawna, jeszcze ze Szkoły Głównej, gdzie kosmografią wykładał zacny Jan Baranowski, według Garceta, a Garcet nie wiem już według kogo. Robiliśmy nawet z kolegami odnośne rachunki, lecz wyznaję, że ze wszystkich rozdziałów kosmografii, zaćmienia obchodziły nas najmniej. To takie proste zjawisko; tak łatwo je wywołać, choćby zamknąwszy oczy.

Ruchy planet, komet, chemiczny skład ciał niebieskich, a nade wszystko olbrzymie wymiary wszechświata, na przebycie którego promień słońca, biegnący 44 tysiące mil na sekundę, potrzebuje kilku i kilkunastu wieków, oto były rzeczy godne uwagi. Ale jakiś tam mały księżyc, ze swoim kusym cieniem? ... Czy warto się nim zajmować! ...

Gdym zaś jeszcze zobaczył całkowite zaćmienie księżyca, przy którym satelita nasz z bladego stał się miedzianym jak przypalony naleśnik, straciłem wszelką ciekawość do zaćmień i byłem gotów ubolewać nad nieszczęśliwymi badaczami, którzy tłuką się po oceanach spokojnych i niespokojnych, ażeby oglądać takie głupstwo.

Barwne opisy astronomów-poetów również mnie nie wzruszały. Robi się ciemno, więc ptaki i rośliny idą spać, bydło ucieka w stronę domu, a lud modli się ze strachu. Rzeczy naturalne i proste.

Upłynęło wiele lat od tej pory, nadciągnął rok bieżący, a wraz z nim „Kalendarz Ilustrowany”, w którym Józef Unger zapowiedział na sierpień całkowite zaćmienie słońca dla wschodniej Europy, a cząstkowe dla nas...

— Tak blisko?... — pomyślałem. — No...

Nadszedł i sierpień, a z nim „Wszechświat”, „Kraj” i dzienniki zaczęły rozsyłać mapy zaćmienia. To już zaczynało być interesujące. Szczególniej „piknął” mnie ów mały cień księżyca, który ma być czarny jak atrament i jednym skokiem zalewa na ziemi 400 mil kwadr., czyli terytorium obszerne jak Morawia.

Będąc na wsi lubię patrzeć na sunące po ziemi cienie obłoków, które zjeżdżają z zielonego pagórka, mkną po równinie i znowu wpływają na drobne wyniesienia gruntu.

Należy to do bardzo ładnych widoków, jeżeli obłoczek jest mały, przezroczysty i sunie po ziemi z prędkością niewiele większą od chodu człowieka. Ale kiedy nadleci chmura, rzucająca cień czarny, który najeżdża na ciebie z szybkością 10 lub 15 metrów na sekundę jak lokomotywa, wówczas widok staje się przykrym.

Otóż cień księżyca jest prawie czarny, olbrzymi, widać go nie tylko na ziemi, ale i na obłokach, a pędzi z szybkością nie 10 albo 15, ale tysiąca metrów na sekundę. Obraz podobny może być nie tylko przykry, ale straszny.

Tak więc, w miarę jak zbliżał się 19 sierpnia, obojętność dla zaćmień przeradzała się w niepokój. Człowiek nerwowy miał prawo oczekiwać przykrych wrażeń.

Tu jednak przyszło na pomoc wspomnienie, że natura, nawet wówczas, gdy przeraża, jeszcze jest piękną i twórczą. Głęboko wstrząsa ona duszę, ale zarazem odnawia ją i przebudowuje. Po każdym takim (niestety nader rzadkim) wstrząśnieniu, gdy spojrzysz w siebie, znajdziesz jakiś nowy układ wyobraźni, jakieś nowe źródło uczuć, jakiś nowy punkt widzenia, niby wierzchołek góry, która nagle wyrosła i pozwala spojrzeć na świat trochę pod innym kątem.

Pamiętam, jechałem pierwszy raz do Zakopanego sam z góralem, opuściwszy Kraków w dzień pochmurny, po którym nastąpiła noc ulewna i dżdżysty poranek. Zmarznięty, zawinałem się we wszelkie możliwe odzienia i drzemiał pod płótnem hałaśliwej bryki, marzyłem o górach. W północy widziałem długi szereg jasnozielonych wzniesień, o okrągłych wierzchołkach i łagodnych stokach. Na takie bowiem „góry” napatrzyłem się w dzieciństwie.

Wtem góral zatrzymał wóz...

— Niech wstaną — rzekł — góry widać. — Przetarłem oczy. Wilgotny chłód szczypał jeszcze po twarzy, ale niebo wypogodziło się.

Tu nie ma gór... Jest tylko długa, przykra równina, a daleko, aż na końcu południowego horyzontu, stoi ciemna, zębata ściana, coś niby chmura, niby las. I to las nie zielony, ale fioletowy, popstrzony białawymi, żółtawymi i czarnymi plamami. A jakież on wysoki! Gdyby leżał o sto kroków, jeszcze byłby dwa razy, trzy razy wyższy od prawdziwego lasu, złożonego z dorosłych dębów i sosen.

Nade wszystko nie mogłem dać sobie rady z odległością ciemnej ściany. Patrząc na nią samą — stała o wiorstę; patrząc po równinie dzielącej nas — stała p kilka wiorst.

— Daleko to? — zapytałem górala.

— Niosobliwie daleko; będzie ze cztery mile. Trzydzieści wiorst!

Jeszcze nigdy w życiu nie ogarnąłem okiem podobnej odległości.

Spojrzałem w lunetę. Płaska ściana nabrała wypukłości. Część jej, jakby przez nagłą zmianę dekoracji, wysunęła się naprzód, część cofnęła się w tył i zamgliła. Ukazały się ciemnozielone lasy, jaśniejsze stoki gór, a nad nimi szare i żółte skały. Ta biała plamka to śnieg leżący w jakiejś ogromnej szczelinie, a ta czarna — to cień, rzucony przez jedną górę na skłon drugiej. A te puchy i piórka, z których nie mogłem zdać sobie sprawy, to obłoki, przyczipione do ostrych szczytów, jakby ktoś palił fajkę i wydmuchiwał dym...

Widok piękny, ale przygnębiający.

Ruszyliśmy dalej. W Zakopanem wszystko znikło. Stałem na prost brzydkiej równiny, na błotnistej ulicy. Ze mgły wychylały się ciemne domki, pod nogami szeleścił potok ze szmerem ulewnego deszczu, na prawo inny potok, na lewo jeszcze inny potok, wszystkie zapienione, hałaśliwe, natrzęsające się z podróznego, który z obawą podziwiał je pierwszy raz...

Ale gdzie góry? ... Gór ani śladu. Potężne masy, które o kilka mil stąd przerażały mnie ogromem, gdy zbliżyłem się do nich na kilkaset kroków, znikły. Ukryły się w deszczu i tylko instynktownie czułem ich przygniatającą obecność.

Później miałem okazję nieco bliżej, choć zawsze z daleka, przypatrywać się górom. Widziałem tylko ścianę Giewontu, który zaczyna się tuż u nóg i nagle wzbija się do nieba tak wysoko, że lęka się, aby nie upaść na wznak. Widziałem jeziora, z wodą szafirową i srebrną pianą, których przejrzyste głębiny aż ciągną człowieka do siebie. Słuchałem, o tysiąc stóp nad głową, dzwonek pasącego się bydła z tym wrażeniem, że bydło pospada na mnie, a później wszystkich nas góry zasypią. Widziałem potok wąski na przeskok, który toczył odłamy skał jak piece i inny potok, który za pomocą małych kamyków gryzł skaliste łóżysko i wiercił w nim otwory, podobne do

skręconych konch ślimaczych, dużych jak kotły. Przechodziłem ciemne i wilgotne lasy, w których nie odzywał się żaden ptak, ani nawet mucha, tylko nigdy nie kończące się warczenie potoków. Ale za to nad Morskim Okiem słyszałem echo gadające przez kilkadziesiąt sekund, które na ludzki głos odpowiadało grzmotami.

I wszystko, com tu wycierpiał, na com patrzył i czegom słuchał z trwogą — te głuche lasy i gadające skały, płaty ziemi, która wydzieraa się ku niebu i zbiorowiska głazów, większe od wszystkich miast świata, powietrze, które skraca odległości i drobny deszczyk, który roztapia w sobie niezmierne łańcuchy wzniesień, wszystkie te zawrotne widoki i przykre niespodzianki zlały mi się w jeden obraz tak piękny, że nie ma chyba skarbów, za które można by go odstąpić. Dusza rozszerzyła się...

Ta jest główna cecha natury, nie tylko goi rany, które zadała, ale jeszcze wynagradza je szczęściem, jakiegośmy nigdy nie oczekiwali.

Więc jadę na zaćmienie.

W pociągu kolei Nadwiślańskiej, o 1 w nocy, jest nas dwu amatorów silnych wrażeń: ja i pewien obywatel.

Przy migotliwym świetle latarni wagonu widzę, że mój towarzysz ubrał się na tę uroczystość w wąziutkie spodni, kurtkę, której dolna krawędź usiłuje mu dojechać do kołnierza, i miękki filcowy kapelusz, który daje się przerabiać na hełm, infułę, trój rożek napoleoński, toczek garybaldyjski i czapkę marynarską, nie tracąc przy tyra wyglądu starej kieszeni.

Jest to dżentelmen grzeczny i równy w obejściu, który gdyby z samym Dantem jechał do piekła, jeszcze wziąłby ze sobą w paskach poduszkę i sławucką kołdrę, ażeby wygodnie przespać się w łódce Charona lub na piekielnych stacjach; kładzie się więc i śpi snem dziesięciu sprawiedliwych jak świstak alpejski w grudniu.

Staram się naśladować jego przykład, lecz przekonywam się, że wypicie czterech szklanek herbaty na noc nie usposabia do snu. Tymczasem pociąg huczy, kołysze się, sypie iskry i pędzi mijając słupy telegrafu, budki dróżników i stacje owinięte dzikim winogrodem. Co pół godziny zatrzymujemy się, słysząc tupanie kilkunastu par butów, senne głosy, 'potem dzwonek, świst i znowu jazda w głęboki tunel nocy.

Godzina druga, trzecia ... Mój towarzysz śpi cicho jak cherubinek, tylko bujne faworyty spadają mu pod lawę.

— Pyszny kapelusz — myślę — muszę sobie taki kupić. — Zarazem dostrzegam, że jutrzejsze zaćmienie już wywarło wpływ na świat zwierzęcy. Ani jednej pchły w wagonie!...

Jedziemy wciąż, czarna noc szarzeje. Spoglądam na zegarek — blisko czwarta.

— Zobaczymy — myślę — jak wygląda słońce na dzień przed splątą weksłu.

Jeszcze stacja i — robi się na dworze tak widno, że doskonale można czytać. Ponieważ między mnóstwem przepisów kolejowych nie znajduję tego, który zabrania wychodzić na ganki wagonów podczas jazdy, więc wychodzę na ganek.

Zachodnia połowa nieba jest dosyć zachmurzona i ciemna; nad horyzontem jeszcze widać błękitny płaszcz uciekającej nocy. Lecz pola, drzewa, budynki mają już swój właściwy kolor. Wyraźnie widać białe płaty piasku, żółtawe ściernie, czerwoną korę i zielone głowy sosen.

Jednakże czegoś im brak, a raczej ponad różnymi ich barwami rozciąga się jeszcze, jakby delikatna kołdra, utkana z jednostajnego cienia — śpi ziemia i jej rzeczy.

Za to niebo na wschodzie jaśnieje już wszystkimi blaskami dnia. Małe, zaróżowione obłoki jak kąpiące się dzieci płyną po morzu, w którym lazur i srebro stopiły się w płyn subtelniejszy od

samego światła.

Ale otóż i pokazuje się wesoła, roześmiana twarz słońca, nad którą wzbijają się snopy blasków, jak motyle skrzydła albo jak ramiona otwarte do szerokiego uścisku. Za kilka minut każde drzewo dostanie porcję żywego światła, które oddzieli go od innych drzew i nada mu odrębną fizjognomię. Każdy ziemski przedmiot pocznie rzucać cień, będzie jak człowiek, który dopiero leżał, lecz teraz podniósł się i stoi.

Naprawdę światło jest duszą świata i kto wie, czy za pomocą jego promieni, przedmioty, które nazywamy martwymi, nie patrzą na siebie i nie widzą się tak, jak my je widzimy-

Czym zresztą płytka fotograficzna, która nie tylko widzi, ale nawet pamięta, miałaby- być lepszą od liścia albo kamienia? ...

Wracam do wagonu, w którym dzień zawsze korzystający z prawa bezpłatnej jazdy zajął już wszystkie miejsca dozwolone i zabronione. Mój towarzysz ciągle śpi, a jego kapelusz, podobny w tej chwili do rozdartej cholewy, podbija mnie ostatecznie. Przysięgam, że muszę mieć taki, i istotnie po kilku dniach znajduję up. Trois Francois jeszcze lepszy Obok wszystkich zalet formy posiada on jeszcze [zaletę] ścierki do kurzu, chusteczki do nosa, serwetki do czekolady itd.

Śliczny ubiór! Ledwie go włożył, przekonałem się, że mam już zabezpieczoną starość. Będę wydzierżawiał się na stacji nasion do straszenia wróbli.

Otwock!... pięć minut.

Robi się małe zamieszanie, do cichego wagonu wchodzi kilku, może kilkunastu panów. Między nimi inżynier Sokal, ważny dla miasta z tego względu, że buduje kanalizację, a mnie osobliwie drogi, ponieważ i on wybiera się na zaćmienie. W ogóle od paru dni zaczynam dzielić ludzi na dwie grupy: takich, którzy jadą na zaćmienie, i takich, którzy nie jadą. Dla pierwszych budzą się we mnie tklive braterskie uczucia, dla drugich mam wstręt i pogardę, maskowaną jedynie dobrym wychowaniem.

Przy tym p. Sokal jest to człowiek nadzwyczajnie grzeczny, spokojny jak Anglik, ale... (któż na tym świecie jest bez ale...) ma jedną oryginalność. Oto, po dłuższym pobycie w Szwajcarii, a zapewne i w innych punktach Europy, doszedł on do wniosku, że najpiękniejszą letnią rezydencją jest Otwock, a w nim szmat piasku zasypywanego od rana do wieczora dymem nadwiślańskich lokomotyw.

Co prawda Andriolli także zwiedził Alpy i Ural, Pireneje i Apeniny i w rezultacie zbudował sobie kolonię nad Świdrem.

Nieszczęśliwi! nie znali Nałęczowa.

Jest siódma z rana, śpiący mój towarzysz spogląda jednym okiem na zegarek, dosypia pięć minut, potem zrywa się jak łania, zawija kołdrę i poduszkę w paski, ubiera się w swój fenomenalny kapelusz i jest gotów. Składamy we trzech radę wojenną w sprawie zaćmienia.

Ja głosuję za podróżą do Wilna, pod warunkiem, że droga w tamtą stronę i na powrót zostanie skrócona do trzech lub czterech godzin, co na razie okazuje się niemożliwym. P. Sokal stanowczo jedzie do Mławy o godzinie 6 min. 57, a p. Węgliński gotów jest jechać do Wilna i do Mławy, a nawet do obu tych punktów jednocześnie i każdym pociągiem.

Ostatecznie decydujemy się na Mławę. Stajemy na Pradze, p. Sokal znika i po chwili wraca donosząc nam, że będziemy mieli w Mławie nocleg.

Docieramy do Warszawy. Kąpiel, obiad, wizyty. Kogo spotkam, każdy wybiera się do Mławy. Wszyscy goście z restauracji p. Czuleńskiej, wszyscy członkowie redakcji, cała Warszawa jedzie do Mławy. Kto nie jedzie do Mławy, ma zamiar wyjść na Nowy Zjazd, a kto nie ma zamiaru nigdzie ani iść, ani jechać, kupuje sobie przynajmniej okopcone szkiełka. Wszystkie rozmowy toczą się około zaćmienia, a choć niebo jest pochmurne, do jutra jednak wypogodzi się.

Któż słyszał, ażeby na chwilę zaćmienia niebo było pochmurne! Potem może sobie deszcz padać, ma przecież czas.

Zachodzę do Berenta z zamiarem wzięcia kilkunastu lunet, spektroskopów, igieł magnesowych itd., a tymczasem patrzę na barometry. Każdy śpiewa z innego tonu, ale ogólna melodia waha się między odmianą a deszczem. Zmienny deszcz.

Prof. Plewiński przypatruje mi się z łagodną ironią.

— Cóż, panie profesorze, pogoda na jutro będzie?

— Macie panowie 90 szans na sto...

— Ze będzie pogoda?

— Że będzie deszcz.

— No, ale na chwilę może się wypogodzić.

— O, może.

— Na tę chwilę?

— Nawet i na tę.

Z pewnością wypogodzi się, a teraz drzylimy na kolej. Jest piąta, pociąg odchodzi za dwie godziny, wobec jednak tylu amatorów bezpieczniej jest wcześniej kupić bilet.

Im bliżej g. 7, tym na dworcu pełniej. Damy, mężczyźni, uczeni, kupcy, technicy, duchowieństwo tłoczą się jak w dniu sądu ostatecznego. Na platformie pogwizduje lokomotywa przypinająca coraz nowe wagony, kasjer jest bliski zemdlenia, akcje kolei Nadwiślańskiej co pięć minut idą w górę. I nie dziw, na mnie samym z okazji zaćmienia zarobi kolej ze 14 rubli, z Nałęczowa do Mławy i z Mławy do Nałęczowa.

Przypięto już siedemnasty wagon, wtem we drzwiach ukazuje się coś wspanialszego od kolumny Trajana, z pakiecikiem zawiniętym w „Kurier”. Przecieram oczy... Ależ to Wł. Bogusławski!... Wchodzi do wagonu jak Cezar do historycznej łódki, składa w koszu swój pakiecik jak Jowisz pęk grzmotów i siada w kącie na ławce jak po prawicy Boga Ojca, z którym sądzić będzie żywych i umarłych. Złoto kochane! ten już nie opuści żadnego widowiska, byle nie odbywało się w ogródku. Na wyjątkową uroczystość wiezie z sobą akurat tyle, co potrzeba: w piersiach skłonne do uniesień serce, w pakieczku — ręcznik i szczoteczkę do zębów. Kłopot o jedzenie i spanie zostawił dobremu Bogu, który odziewa lilie polne.

W wagonie sami znajomi.

Jest p. Węgliński ze swoją kołdrą sławucką, przezorny inżynier Sokal z wiązką obwarzanków i łańcuchem serdelków, chemik Rakowski z aparatem fotograficznym, za pomocą którego chce „zdjąć” koronę słoneczną, i tak ją zdyktował, żeśmy jej na niebie nie zobaczyli, chemik Leppert z paką odczynników przeznaczonych do zbadania pierwiastka helium. Nie brak nawet higienisty w prześlicznym garniturze, ale nazwiska jego nie powiem, gdyż podróżował incognito.

Na stacji świszczą i dzwonią. Wytykam głowę przez okno i widzę grupę konserwatystów, majestatycznie kroczących do wagonu I klasy. Na twarzach ich maluje się dobrobyt i zadowolenie. Już telegrafem zamówili obiad w Mławie, a ponieważ jadą we czterech lub pięciu, pieszczą się więc słodką nadzieją, że i nas kilku zaproszą do towarzystwa. Zdaje się, że wzięli ze sobą pościel pneumatyczną, cały koszt optycznych narzędzi i parę talii kart jeograficznych. Przechodząc około nas, umawiają się; kto komu będzie pomagał — zapewne w robieniu spostrzeżeń.

Wtem z wielu wagonów odzywają się huczne okrzyki:

— Wenda! Wenda! ...Chodź do nas, tu jest miejsce...

Rzeczywiście p. Wenda ukazał się na peronie, niosąc wielki pakiet w rękach, a z mocno wypchanych kieszeni jego paltota wyglądały jakieś wysmukłe przedmioty. Ponieważ ci, którzy go tak

entuzjastycznie witali, byli to uczeni, sami członkowie Wystawy Higienicznej, domyślałem się, że i p. Wenda wiezie instrumenta potrzebne do badań.

— Musi mieć i chronometr — pomyślałem. A tymczasem upragniony gość już ulokował się w wagonie 18 czy 19.

Ruszamy, jedziemy. Niebo bardzo pochmurne, lecz do jutra wypogodzi się z pewnością. W szyby wagonu zaczyna bębnić deszczyk, no — ależ to jeszcze 10 godzin!... Docieramy do Jabłonny. Jest tak ciemno, że nawet nie mogę dojrzeć sławnej „halli”, wzniesionej dla wygody letników. Za to na posępnym tle chmur połyskują jakieś blade widziadła, może duchy gołębi zamordowanych przez tire aux pigeons. Towarzysze nasi biegną do stacji po piwo, ale ani piwa nie ma, ani można dotłoczyć się do bufetu.

— Wenda!... chodź do nas ...

Znowu jazda. Deszczyk puka, ażebyśmy się przedrzemali i całe towarzystwo usposabia nader melancholijnie. — Kto wie, czy jutro będzie pogoda?

— I czy dostaniemy co jeść w Mławie?

— Jedzie ze 600 osób.

— Restaurator Niemiec przygotowałby się na tyłu, ale nasz brat...

— Zmarniejemy z głodu przed zaćmieniem.

— Trzeba zaraz wziąć na stacji dorożkę i jechać do Mławy, choćby po chleb i serdelki.

Widmo głodu tak przeraża towarzystwo, że w oka mgnieniu znikają obwarzanki i serdelki wiezione przez p. Sokala. Po czym każdy sadowi się, jak może, i zaczynamy drzemać.

— Żeby się choć udało zaćmienie!

— Uda się!

— Nie uda się!

— Stawiam 10 groszy, że się uda.

— Trzymam, choć wolę przegrać.

Cicho wachlując niewidzialnymi skrzydłami, po wagonie przeleciał sen, pocieszenie smutnych i lekarz chorych. Drzemał, ziemianin, drzemał kupiec i filolog, i doktor higienista, i dwaj chemicy, ulegając sile wyższej nad wszelką troskę. Tylko Bogusławski nie drzemał, on spał jak zachloroformowany ...

Nieprawda, że jest tylko jeden świat; są dwa światy: ten i tamten; ten, który mamy pod nogami, jest ziemski; tamten, do którego trzeba podnosić głowę, jest niebem, może nawet tym, o którym mówi katechizm i biblia.

Nie jestże niebo światem duchowym? Wszak wiemy o jego istnieniu tylko za pośrednictwem najbardziej duchowego zmysłu — wzroku. Wszak najprostsze jego tajemnice odkrywamy nie za pomocą eksperymentów, ale najzawikłańszych rozumowań.

Nie jestże duchowy ten niedostępny świat, którego nigdy nie dotknie stopa ludzka? Gdzie człowiek, który by wydarł się z kajdan ziemskiego przyciągania? Kto i jakim sposobem zwiedzi tak bliski od nas księżyc, do którego kurierski pociąg jechać by musiał przeszło 21 lat? A ile pokoleń ludzkich zmarłoby w ciągu podróży do słońca, do którego ten sam pociąg pędzić, by musiał przez lat 350...

Ocean zwieszający się nad naszymi głowami, w którym zatopiona ziemia płynie gdzieś z szybkością 4 mil na sekundę, pomimo wszelkich pomiarów i badań spektroskopijnych jest naprawdę światem metafizycznym. Ani tam dojść, ani dotknąć się niczego.

Gorzej, bo nawet nie można wyobrazić sobie najprostszych rzeczy.

Kto na przykład przedstawi sobie prawdziwą wielkość ziemi? Dla nas cała ziemia zamyka się w kole horyzontu, który ma zwykle około 6 wiorst w promieniu, czyli tysiąc razy mniej niż promień ziemi. Są ludzie, którzy z największym niebezpieczeństwem wzbijają się o milę" wysoko. Widzą stamtąd terytorium olbrzymie, większe niż Węgry z Galicją, a swoją drogą promień tak ogromnego horyzontu stanowi ledwie dwudziestą część promienia ziemi.

Jednym wyrazem: nie jesteśmy w stanie uzmysłowić sobie nawet rozmiarów ziemi.

A czymże jest ona przy słońcu? ... Okruczem 1.300 milionów razy od niego mniejszym; wygląda przy słońcu jak ziarno grochu przy wielkiej dyni.

Wszystko to jednak są drobiazgi wobec gwiazdzistego nieba. Kiedy bowiem cały system słoneczny możemy sobie uzmysłowić w dosyć dokładnej miniaturze, nawet w takiej miniaturze nie jesteśmy w stanie pojąć ogromu wszechświata.

Przedstawmy sobie dużą równinę, a na niej kolisty tor (jak plac wyścigów), którego obwód miałby przeszło 9 wiorst, a średnica 3 wiorsty. Na tym placu moglibyśmy umieścić obmyśloną przez Herszla miniaturę systemu słonecznego.

W środku placu umieścimy dynię wysoką na łokieć, to będzie obraz słońca. O 36 kroków od dyni położymy ziarno gorczycy, to będzie planeta Merkury. O 66 kroków, wciąż od dyni, umieścimy nieduże ziarno grochu, to Wenus, a trochę większe ziarno grochu, leżące o 91 kroków od środka placu, będzie ziemią...

Na pół łokcia od grochu umieścimy ziarno prosa, ażeby mieć księżyc.

Ziarno siemienia konopnego, położone o 140 kroków od dyni, przedstawi planetę Marsa, a średniej miary pomarańcza w odległości 475 kroków będzie największą planetą — Jowiszem. Mała pomarańcza, o 900 kroków od środka placu — to Saturn, duża wiśnia w odległości wiorsty będzie Uranem, a jeszcze większa wiśnia, leżąca już na obwodzie toru o półtory wiorsty od dyni, będzie Neptunem.

I otóż mamy miniaturę „systemu planetarnego”, z którego, jakkolwiek umieścimy się, możemy dojrzeć słońce, ale planet, a osobliwie ziemi — ani sposobu. Kto, choćby o 91 kroków, dojrzy ziarno grochu!

Ale to dopiero system planetarny, dokoła którego, nad którym i pod którym znajduje się kilka tysięcy gwiazd widzialnych gołym okiem i ze 40 milionów gwiazd widzialnych tylko przez potężne narzędzia astronomiczne. Każda zaś gwiazda jest takim słońcem jak nasze i również może być przedstawiona w miniaturze za pomocą dyni.

Dobrze. Gdzież jednak umieścić ową dynię, ażebyśmy mieli miniaturę odległości najbliższej gwiazdy od słońca? Może o 5 albo o 10 wiorst? ... O 40 tysięcy wiorst!... W takiej to odległości, obok miniatury słońca, trzeba umieścić miniaturę gwiazdy i za nią o 40 tysięcy wiorst model drugiej gwiazdy itd. aż do wyczerpania 40 milionów gwiazd.

Kto zaś pojmie odległość 40 tysięcy wiorst albo cyfrę 40 milionów, na samo porachowanie której licząc bardzo szybko dniem i nocą zejdzie około 8 miesięcy? Słowem — nieba nie możemy sobie wyobrazić; przechodzi to wszelkie granice naszych zmysłów. Tworzymy tylko o nim pojęcie za pomocą symbolicznych rysunków i liczb, których nigdy nikt nie był w stanie zrachować. Jest to więc świat istotnie duchowy, metafizyczny i tylko dla zwyczaju nazywamy go materialnym.

Trzeba jeszcze dodać, że w tym niedostępnym i bezmiernym niebie tkwi źródło wszelkiego życia na ziemi — słońce. Gdyby ono bodaj na tydzień przestało nas ogrzewać, zginęłoby wszystko, co rośnie i rozmnaża się, bez śladu i bez możliwości odrodzenia. ..

„Gdzieżeś był, kiedym Ja zakładał grunty ziemi? Powiedz, jeżeli masz rozum.

„Możeszże związać jasne gwiazdy Bab albo związek Oriona rozerwać?

„I znaszże porządek nieba? a możeszże rozrządzić panowanie jego na ziemi?”

Skrzywnęła zasuwa wagonowego przedziału i przez półzamknięte oczy zobaczyłem pana z dużym pakietem w ręku i wypchanymi kieszeniami. Gość obrzucił wzrokiem śpiących, coś połyskującego wydobył z jednej kieszeni i rzekł:

— Kalmusówka....

— Wenda! — huknęli śpiący jak jeden mąż. — Tu siadaj... Tu jest miejsce...

Posadzono gościa tak tęsknie oczekiwanego na pryncypalnym miejscu, które najobficiej było zasypane proszkiem perskim. Słyszałem ciche puknięcie, potem łagodne gulgotanie, które powtórzyło się kilka razy, a potem nie słyszałem nic.

Godzina 11 w nocy; nie ma wątpliwości, że już stanęliśmy w Mławie.

Wszyscy wybiegają z wagonu i ja też... Jak na odpuście do cudownego miejsca tłoczmy się pod gmachem stacji; wciskamy się w jego drzwi jak rozrabiane ciasto między palce terminatorów piekarskich i — jesteśmy w sali restauracyjnej.

Ścisk, wrzawa, popychanie się. Czekam, rychło z jakiego kąta wylezie chude widmo głodu, lecz zamiast niego widzę podróżnika z talerzem pełnym mięsa. Drugi, trzeci... setny, a każdy ma pełno w garści i pełno w misce.

— Może głodu, nie będzie? ...

Nareszcie i ja docieram do bufetu i — zjadam wcale niezłą kolację za pół rubla: kawał mięsa, mały kalafior, kromka chleba, czy to nie dosyć?

O g. 11 min. 45 jestem świadkiem zjawiska ekonomicznego, zwanego podwyżką ceny. Rzecz dzieje się przy antałku piwa z pompką. Dopóki piwo płynęło klarownie, płacono za kufel po kop. 10; gdy zaś stało się mętne i zaczęło syczeć, gospodarz zawołał:

— Teraz niech panowie płacą po kop. 15, bo już piwa mało. „Cena rośnie w stosunku prostym do ilości nabywców, a w stosunku odwrotnym do ilości towaru”.

Nie mogę powiedzieć, ażeby gospodarz tego zakładu okazał dla mnie zbyt wiele życzliwości; muszę jednak przyznać, że jest dzielny człowiek. Przygotował się na wykarmienie 600 osób, wbrew naszym posępnym wróżbom.

Znowu zjawia się opatrnościowy inżynier Sokal i prezentuje mnie i moich przyjaciół naczelnikowi stacji p. Bogusławskiemu. Okazały to człowiek i bajecznie gościnnie. Sam prowadzi nas do pokoju, każe stawiać łóżka, daje własną pościel, jakbyśmy, biedni tułacze, byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Marzyć nie śmieliśmy o podobnym przyjęciu.

Chwilę pokręciwszy się idziemy spać. Kardynalskie posłanie! na każdym zmieściłyby się dwie osoby i jeszcze braciszek klasztorny na dodatek.

Otóż i 19 sierpień, czwarta rano. Budzi nas służący, z którego aforyzmów wnoszę, że kiedyś musiała go lokomotywa uderzyć w głowę.

Stosownie do alfabetycznego porządku dźwiga się naprzód Wł. Bogusławski w bieli jak posąg komandora. Widno już jest o tyle, że na stopach mego przyjaciela spostrzegam jakiś strój ciemnej barwy, kto wie, czy nie haftowany w kwiatki.

— Skąd u diabła wyrwałeś kolega pantofle w Mławie?

— To nie są pantofle... To kolorowe skarpetki!... — odpowiada mój wspaniały przyjaciel, pluszcząc się w czterogarnkowej miednicy jak kaczonek.

— Więc za półtorej godziny zaćmienie... Brr!...

Przez okno rozległy widok na ulicę. W zenicie niebo czyste, za to północ, południe, a nade wszystko wschód, zasnuwane wielkimi szmatami chmur. Jeżeli się rozsuna... z pewnością rozsuna; mają przecie półtorej godziny do uporządkowania się.

Umyty jak na bal w ratuszu pędzę do restauracji, piję herbatę i czekając na moich przyjaciół wałęsam się po platformie.

Aha! już wiem. To są wagony, które nas wczoraj przywiozły. Tu, w historycznym hiszpańskim płaszczu, stał Bożydar z pudłem w ręku.

— A co to? — zapytałem go.

— To dla Reichmana.

— Kalmusówka?

— Nie, termometry.

Tu krążył Gomulicki, chowając w kieszeniach paltota ręce. Tam, za wsią, leżą wzgórza, z których mamy oglądać zaćmienie.

A oto niezapomniany słup, pod którym wczoraj jeden z moich drogich przyjaciół, wobec nieprzejrzanej ciżby ludu, wręczył mi honorową butelkę wina. Kupił ją i przywiózł we własnej kieszeni; nie wiem czy w imieniu narodu, czy od siebie.

— A cóż jegomość będzie miał? — Phii... mój panie!...

I niedbale machnął ręką. Snadź wspomniął na ptaki powietrzne.

Na platformie ukazują się pp. Wł. Bogusławski i Węgliński, a pierwszy mówi:

— No, już czas.

Był w tej chwili uroczystszy niż kiedykolwiek. Zegarki wskazywały wpół do piątej.

— A więc za godzinę ... Dorożka!

Zajeżdża dorożka, siadamy we trzech i lekkim kłusem toczymy się w stronę pagórków. Jest już kompletny dzień, doskonale można czytać. Po błotnistej drodze jedziemy na widowisko, które człowiekowi pozwolono oglądać raz, czasem dwa razy w życiu. Do tej drugiej grupy szczęśliwców należy Bogusławski. Przypatrując się jego minie, dosyć rzadkiej w tej chwili, wnioskuję, że przedstawienie będzie naprawdę poważne. Mój przyjaciel jest bladawy, podczesuje brodę i jeżeli mnie pamięć nie myli (może myli), ściska pod pachą swego „Kuriera” z ręcznikiem i szczoteczką do zębów. W jakim celu wiózłby je na zaćmienie? dalibóg nie wiem.

Zaczyna mi się robić markotno, jakbym jechał na przypatrywanie się egzekucji. Widno, bo widno, ale chmury ani myślą ustępować.

Żeby choć na kilka minut rozdarły się! ... Przecie szkody sobie tym nie zrobią.

Dorożka jedzie w sposób tak pospolity, jakby zaćmienie miało być dopiero za półtora roku. Przecina w poprzek wieś, podobną do szkaradnego miasteczka, nurza się w błocie jakiejś wąskiej uliczki, przy której stoi kamienica, mieszcząca w sobie szkołę, i nareszcie wrzyna się w piaszczyste zagony. Markotno, ach! jak markotno...

— No, nie bądźże w końcu śmieszny — mówię sam do siebie. — Co w tym nadzwyczajnego? Księżyc stanie naprzeciw słońca i rzuci cień, jak rzuca cień drzewo, budynek, wreszcie każdy z nas. A że w tej chwili księżyc znajduje się od ziemi o 48 tysięcy mil, więc nas dosięgnie. Co masz pozować na sentymentalnego, taki stary chłop? Zostaw to pannom potrzebującym wyjść za mąż.

Dorożka staje, a nieprzystępny delikatnym uczuciom furman jeszcze raz rzuca okiem na pieniądze, czyśmy mu nie wsunęli fałszywej czterdziestówki. Potem jak Charon z łodzią zawraca po innych pasażerów, którzy niecierpliwiają się na stacji.

Jakże to już dawno opuściliśmy stację: jest chyba ze sześć minut!

Po wilgotnym, trochę zapadającym się piasku, wchodzimy na pagórek/gdzie już stoi kilkaset osób. To samo towarzystwo, które wczoraj w pociągu i w restauracji huczało jak burza, tu, choć jeszcze słońce nie weszło, zachowuje się tak spokojnie, jakby w polu stał ołtarz i miało odprawiać się nabożeństwo. Widać nie mnie jednemu markotno.

Obszerna równina. Za nami, w głębi, leżą ogromne budynki stacji, żółte, z czerwonymi dachami; na prawo, o sto kroków, drugi pagórek, na nim domek młynarza, jeszcze jeden domek niewykończony, bez drzwi i okien, i wiatrak, który jakby nigdy nie, wywija skrzydłami. Daleko na południe znowu widać wiatrak i wieżę mławskiego kościoła. Zresztą, smutna równina, bardzo rozległa, a nad nią szare obłoki, gęsto poprzerywane bladymi szczelinami.

— A gdzie tu słońce wschodzi?

— Tam, jak ten krzak... Widzi pan?

Widzę krzak, od niego na prawo jeszcze jeden pagórek, a na nim znowu gromadkę osób. Stoją może na pół wiorsty przed nami jak słupy opuszczonej palisady.

W stronie północno-wschodniej robi się między chmurami wyłom, przez który leją się ogniste potoki świtu. Cała gromada widzów zwraca uwagę w tamtą stronę, myśląc, że tamtędy wejdzie słońce.

W najbliższym sąsiedztwie mam nieduże, ale soczyste grono filistrów. Panowie ci nie znają się, nigdy nie widzieli się, lecz w jednej kwestii zgadzają się jak bliźnięta, że nie było po co przyjeżdżać. Mają pretensję do siebie, że się tu znaleźli, do kolei, że ich przyniosła, do chmur, że zasłaniają niebo, do słońca, że podobny dzień wybrało na zaćmienie, wreszcie do Boga, że stworzył taki kiepski świat, w którym człowiek za swoją noc zmarnowaną i 4 ruble 32 kop. nic wiedzieć nie może. Ale ani natura, ani Pan Bóg, ani nawet kolej Nadwiślańska nie okazują skruchy.

— Uspokójcie się, panowie, w tej chwili wejdzie słońce i możecie je zobaczyć. Jest to ten rodzaj obłoków, które niezupełnie zakrywają słońce.

— Kpij pan z tego!... diabli nas tu przynieśli!... — krzyczą rozgniewani filistrowie.

Spoglądam na zegarek — co u licha? ... słońce już być powinno, nawet według mławskiego czasu. Patrzę na wyłom północno-wschodni, a i tam łuna blasków wskazuje, że słońce już weszło.

Nagle rzucam okiem na prawo od krzaka, poza którym miało ukazać się słońce, i ze zdumieniem widzę, może o łokieć nad horyzontem, krążek czarny, w dolnej mniejszej połowie zasłonięty chmurą, w kilku miejscach powierzchni poplamiony szarymi obłoczkami, ale mimo to wyraźny, szczególnie z boków.

Domyślam się, że słońce już weszło nad horyzont, lecz nie pokazało się, gdyż zakrywa je, prawdopodobnie w górnej części, księżyc. Rzadkie chmury odegrały przy tym rolę szkła okopconego.

— No, patrzcie panowie, widać księżyc — mówię pokazując w kierunku krzaka.

Odpowiedziano mi wybuchem śmiechu. Filistrowie krzycząc i machając rękami, patrzyli — jeden na północ, drugi na wiatrak, trzeci na mnie, a czwarty wyrwał mi z rąk lunetkę i wyciągnąwszy z niej dwa stawy, oświadczył, że nic nie widzi.

Tymczasem obłoki zasnuły księżyc.

— Ale wiercie mi, zem go widział — mówię.

— Śmieć się pan z tego!... ślepy jesteś i chcesz widzieć to, czego kilkaset osób nie widziało. Masz pan halucynacje i nic więcej.

Była wprawdzie obok nas dama, warszawianka, która powiedziała, że również widzi czarny krążek.

Ponieważ jednak w kilka dni później oświadczył mi jeden z filistrów, że wobec niego cofnęła swoje zwierzenie, nie ma więc już żywej duszy, na której świadectwo mógłbym się powołać.

Mimo to jestem pewny, że przez chwilę widziałem czarny krąg w miejscu wschodu słońca. Czułbym też gorącą wdzięczność dla szanownych panów: Kowalczyka i Jędrzejewicza, gdyby zechcieli rozstrzygnąć, czy w ogóle można było widzieć górną część księżyca (dolnej nie widziałem) na jakie pół godziny przed zaćmieniem?

Mogło to być złudzenie, którego zresztą też nie zarzekam się; ale mógł być fakt.

Zwracam uwagę, że zjawisko działało się wśród szarych obłoków, i że w podobnych warunkach widywałem nieraz wschodzące słońce. Wyglądało wtedy jak duża kula o czerwonej barwie i ukazywało się na tle obłoków jakby przed nimi. .

Ciężko udręczony i tak szpetnie wyśmiany przez filistrów, aby ocalić resztki honoru, rzucam niegościnnie pagórek i przenoszę lary i penaty na drugi obok wiatraka. Dwaj towarzysze postanawiają dźwigać ze mną brzemień wygnania.

Bogusławski otwiera ten żaloszny pochód, stąpając jak 300-metrowa wieża Eiffla. Na widok jego pogardliwie zadartej brody przypominam sobie poemat: „O przyjaźni”, ułożony niegdyś przez antykwariusza Kierera:

*Przyjaciel wierny
Więcej znaczy
Niż skarb niezmierny;
On przebaczy
Wszystkie urazy
Kilka razy.*

Opatrzność wynagrodziła moją krzywdę, gdyż obok chaty młynarza znaleźliśmy dwa wesoło bawiące się pieski i białego kota, który siedział na progu lub włóczył się po dziedzińcu. Na lewo od pagórka stało kilka wozów z końmi, a za nimi cała owa grupa ciekawych warszawiaków, którąśmy opuścili. Stąd nawet wyglądali trochę sympatyczniej.

Widziałem, że naigrawający się filistrowie zebrali się na narady, uszykowani w ten sposób, jakoby chcieli zasiać do winta. Łaska boża, że nie znalazł się tam taki astronom ze stolikiem do obserwacji, gdyż zaraz by go przepędzili i wzięli się do zwykłego warsztatu. Jestem prawie pewien, że mieli ze sobą składane krzeselka ukryte w laskach i świece w podróжных lichtarzykach na czas zaćmienia.

Dopiero na tym wzgórzu, z daleka od urągania filisterskich, mogłem nieco skupić uwagę. Żywo stanął mi w wyobraźni krąg widziany przed kilkoma minutami. I zdawało mi się, że jakiś olbrzymi potwór niby sufler z budki wytknął spoza horyzontu czarną głowę spoglądając, czy już pora zaczynać przedstawienie?

Wciąż było widno. Na wschodzie zgęszczały się chmury, ale błyszczał jeden pasek jasny niby drzwi ostrożnie uchylone. Zachód był nierównie czystszy; niedaleko horyzontu leżał szmat prawie błękitnego nieba duży jak Plac Teatralny, upstrzony białymi obłoczkami.

To miejsce wydało mi się najważniejsze; tu powinienem był dostrzec nagły skok cienia księżycowego. Na ten też punkt postanowiliśmy uważać, ja i p. Węgliński, mówiąc nawiasem, szczęśliwy posiadacz dobrego zegarka.

Na wzgórzu oprócz nas znajdowało się kilka dam, jenerał Brok ze swiątą oficerów i kilku panów cywilnych.

Było między nimi cicho jak makiem zasiał. Młynarz siedział w wiatraku, a młynarka w izbie zajmowała się śniadaniem, bez pomocy sztucznego światła, zwyczajnie jak w dzień.

Nagle coś drgnęło na niebie i na ziemi i cały horyzont odrobinę ściemniał. Była to jedna z tych widocznych zmian oświetlenia, któreśmy spostrzegli wszyscy. Zaćmienie cząstkowe rosło stopniowo; nie od niego więc zależał ten ruch momentalny. Prawdopodobnie nadpłynął jakiś obłok. Ale umysły tak były nastrojone, że dopiero od tego momentu uczuliśmy się pod moralnym wpływem wielkiego zjawiska.

Nie wiem, czego doświadczyli inni. Ja osobiście nie doznawałem żadnej przykrości, tyłkom

spostrzegł, że wyobraźnia poczyną grać silniej niż zwykle i — że czas mi się rozszerza. Jedna sekunda rozrastała się na dwie, trzy, cztery... tak że kiedyś myślał, iż upływa minuta, upływało naprawdę 10 lub 15 sekund. Zegarek można było jeszcze doskonale odczytywać. Obłoczki w zachodniej wyrwie były wciąż białe. Dwa pieski goniły się, pełne wesołego nastroju ducha, kot siedział przed chatą. Kolory, które miałem na karteczce, nie uległy żadnej zmianie.

Tylko ludzie mówili między sobą, że już jest trochę ciemniej i że ciemność wzmaga się, chociaż w sposób tak nieznaczny jak ruch minutowej wskazówki.

Nie wiem, czym gdzieś to czytał, może widział obraz, a może mi się tylko śniło, ale w tej porze przysłała mi na myśl jakaś olbrzymia kobieta, klęcząca, w szarym płaszczu, z twarzą zamyśloną i nad wszelki wyraz spokojną. Zdawało mi się, że patrzę na tę kobietę i że widzę, jak długie rzęsy powoli, ale coraz głębiej zasłaniają jej oczy i jak ona sama coraz niżej pochyla się, a na jej oblicze pada cień coraz mocniejszy.

Dlaczego ona tak pochyla się? ... Dlaczego tak przysłania oczy?... Dlaczego badacze nie biorą na zaćmienia ludzi ślepych, ażeby zobaczyć: jaki wpływ na nich wywiera to zjawisko? ... I dlaczego ja nie spojrzałem na zegarek w chwili drgnienia ciemności? ...

Spojrzałem teraz; było kilkanaście minut po piątej.

Zastanowił mnie nadzwyczajny spokój w duszy i brak wszelkich pragnień. Będzie zaćmienie całkowite, czy nie będzie — wszystko mi jedno. Podobno *zażycie*, morfiny ma napełniać ludzi bardzo wielkim spokojem. Większego jednak niż obecny nie spodziewam się poznać.

Drugie drgnienie... Pociemniało jeszcze bardziej, lecz mimo to ciemność posuwa się dalej jak minutowa wskazówka. Białe obłoczki na zachodzie trochę pożółkły, wiatrak zatrzymano, jeden pies uciekł, ale drugi jest kontent i za siebie, i za niego. Skacze, biega, wspina się komuś do kolan bardzo wesoły. Jest 27 minut po piątej. Do zupełnego zaćmienia brakuje kilku minut.

— Prawdopodobnie taki stopień ciemności zobaczą w Warszawie, niewiekszy.

Mówię to, ażeby, się uspokoić, gdyż ogarnia mnie niepokój. Chodzę, siadam, przypatruję się niebu i ludziom na tamtym wzgórzu, lecz nie mogę sobie znaleźć miejsca ani rozrywki. Nie jest to strach, lecz raczej świadomość jakiegoś rozbratu między myślą i uczuciami. Skąd ten niepokój? Czy z zaćmienia? ... Ależ takie zaćmienie można widzieć przed każdą burzą, która w tej chwili nie grozi. Czy niebezpieczeństwo? ... Niebezpieczeństwa nie ma, to chyba zrozumie każde dziecko.

Więc co mnie dręczy? Oto w świecie czuję brak odpowiednich współistnień, dysharmonię, a w umyśle brak odpowiednich definicji. Jest niby ciemno, a jednak wszystko widać; jest mrok burzowy, lecz obłoki nie mają burzowego wyglądu. Oczy moje coś widzą, ale ja nie umiem tego określić. Brak mi nawet porównań. Tylko wielki żal, który rozpięra mi serce, może znaleźć porównanie. Gdyby konający widział własną twarz, jak mu stopniowo blednie, sinieje, wreszcie szarzeje, doznałby zapewne tego smutku, jaki się ma patrząc na stopniowe zamieranie światła.

A jednocześnie czujesz inny żal — że ten widok skończy się tak prędko!

Spoglądam na konie stojące przy wozach. Konie mają zwieszony łby jak zwykle, lecz za to pewna liczba osób schodzi z tamtego pagórka i dąży ku budynkom. Między wierzchołkiem pagórka a płotem najbliższej chaty formują oni łańcuch. Tu dwoje, o kilka kroków na ziemi jeden, dalej ze czworo, jeszcze dwoje... Niektórzy zapewne myślą, że już nie będzie ciemniej i wracają do domu; innych może pędzi niepokój.

Biały kot cofnął się do izby, ale pies wciąż bawi się. Jego. wesołe skoki, którym nie towarzyszy szczekanie, wydają mi się trochę dziwne. Teraz wszystko dziwi!

Do zupełnego zaćmienia jest jeszcze minuta, najwyżej dwie. Chcąc obrachować długość zjawiska przygotowuję zegarek i zapalki. Mam także papierek z barwami.

— Niech pan uważa na te obłoczki, panie Węgliński!

Owe zachodnie obłoczki, białe przed kwadransem, porobiły się już rudawożółtawe jak brzegi chmury gradowej. Wiatr, który ciągle dął od strony północno-wschodniej, nabiera bardziej wschodniego kierunku, wzmaga się i staje się surowszym. Dźwiga masę wilgoci.

Wlepiam oczy w otwartą cząstkę nieba, a jednocześnie z ukosa patrzę na zegarek. Lada chwila padnie cień księżycy. Siadam na belkach z zadartą głową, jakbym miał dokonywać najznakomitszych obserwacji i myślę, że z tą blagierską postawą muszę być grubo śmieszny. Liczby na zegarku jeszcze odróżniam; w naturze kolorów nie widzę zmiany. Tylko straciły żywość, jak powinno być o zmroku.

Całe towarzystwo, które patrzyło dotychczas na wschód nieba, przenosi się na naszą stronę; damy rozmawiają.

Wtem nowe drgnienie... Na rude obłoczki padła delikatna sadza; sklepienie chmur pochyliło się w sposób widoczny, jakby przysiadło; damy zakończyły rozmowę szeptem...

— Zaćmienie...

Już nie widzę sekundnika na zegarku, ręce mi dygoczą, jakbym komu wygrażał.

Zapalam jedną zapałkę, drugą... obie gasi mocny wiatr. Daję za wygraną sekundom, minutom, barwom; wszystko leci mi z rąk, nie wiem, na co pierwiej patrzeć.

Lecz w takich razach człowiek prędko się opanowuje. Otóż i jestem świadkiem zaćmienia zupełnego. P. Węgliński przylepił oko do zegarka i liczy sekundy. Uciekający z pagórka na dół do chaty stanęli i stoją sznurem po dwu, po trzech... Konie spokojne; młynarka zapala w izbie lampę z kloszem, której światło jest czyste, białe. Nagłe widzę, że kot wdrapuje się na futrynę drzwi wchodowych, jakby go kto gonił.

— Gdzie piesek?

— Sobaczka spriatałaś... — odpowiada cicho oficer. Znowu czuję spokój, ale z odcieniem nieopisanego żalu;

jeżeli zbawieni mogą się smucić w niebie, to chyba w taki sposób. Cały horyzont od mławskich piasków do zenitu napełnia jakiś sinawy zmrok, przy którym widać na drugim pagórku tłum ludzi przemienionych w kamienie. Na południowym horyzoncie, tuż przy ziemi, ciągnie się szeroki na łokieć pas światła barwy żółtaworudawej, przysypanej sadzą.

Ach! jak smutno... Dusza straciła swoją indywidualność, i jest tylko kroplą odbijającą jakieś nieokreślone uczucie całej natury. To nie ślepy gniew burzy, to nie groza gór przygniatających człowieka, to nie głód przepaści, która nas chce pochłonąć, to nie niepewność, jaką budzi nieznaną okolica podczas nocy. To jest raczej żal, powszechne stroskanie świata.

Żal po czym? ... Z jakiego powodu? ... Może ziemia myśli i oto teraz wyobraża sobie straszną epokę, kiedy gasnące słońce, to ukochane słońce, zamiast światła będzie rzucać tylko pomrokę?

„Było około szóstej i stała się ciemność po wszystkiej ziemi, zaćmiło się słońce i zasłona kościelna rozdarła się wpół.

„A Jezus zawołałszy głosem wielkim — Ojcze! w ręce twoje polecam ducha mojego — skonał”.

Tak, ale co na to mówi Renan, Straus?...

Lecz jeżeli istotnie skonał? ... W takim razie nie ma chyba zjawiska, które by dokładniej odpowiadało podobnemu nieszczęściu, jak ten siny mrok i ogniste obłoki zasłonięte kirem.

„W rozmyślanii widzenia nocnego, gdy przypada twardy sen na ludzi, zdjął mnie strach i lękanie. Duch szedł przed twarzą moją, tak iż włosy powstały na ciele moim. Stała się, a nie znałem twarzy jego, tylko jakiś kształt był przed oczyma moimi. Uciszyłem się...”

I czekałem, że lada chwila usłyszę ciężkie westchnienie ziemi: „Boże, bądź miłościw nam

grzesznym!"

Nagle zniknęła sina ciemność z widnokregu i ów czarny, delikatny pył z zachodnich obłoczków, które wnet zbieleły.

— Dziewięćdziesiąt sekund — mówi p. Węgliński.

— Nie podobna, miało być 114...

— Tylko 90, patrzyłem uważnie.

Już po zaćmieniu całkowitym! na resztę cząstkowego, jaka jeszcze została, nikt nie chce patrzeć. Cały tłum dąży na stację. Filistrowie nurzają się w zachwytach, ponieważ będą jedli śniadanie; machinalnie dotykają kieszeni, czy ich kto nie okradł, i przyspieszając kroku mówią:

— Bardzo mi się podobało.

— Jestem zupełnie zadowolony.

Rychtyg jakby wracali z „Barona cygańskiego”.

Po pierwszym dzwonku zbieramy się wszyscy: ziemianie, inżynierowie, chemicy, literaci i Br. Reichman na przykładkę. Siada w kącie przedziału z kwaskowatą miną i w przerwach między opukiwaniem żołądka, na który, zdaje mu się, że cierpi od lat 15, odczytuje swoje astronomiczne notatki:

„Godz. 5 min. 25. Przez rynek biegnie pies z zadartym ogonem...”

Komuś przychodzi do głowy cudna myśl, ażeby wysłać do Wilna telegram tej treści:

„Mława, piękna pogoda, fotografie korony, na wschodzie tarczy kometa, na połud.-zach. Wulkan”.

Wyobrażam sobie miny członków naukowej ekspedycji. Niestety, na wykonanie tej pięknej myśli brakło nam czasu.

Naukowe rezultaty „naszej” ekspedycji są następujące: Inżynier Sokal oznaczył początek całkowitego zaćmienia (czas warszawski) na godz. 5 min. 36, sek. 7; koniec godz. 5, min. 37, sek. 32; czas trwania 87 sek.

Zupełnie w innym punkcie stojący p. Węgliński oznaczył czas trwania całkowitego zaćmienia na 90 sek. Obie cyfry bardzo podobne, a wypada z nich, że Mława, na mapie „Wszehświata” była o 16 wiorst za blisko, a na mapie „Kraju” o 4 wiorsty za daleko od linii zaćmienia centralnego.

Co do barw — zapomniałem o nich w chwili najważniejszej, ale nie zapomniał p. Smólski. Był on we Włocławku i podczas zupełnego zaćmienia dostrzegł, że kolor amarantowy, a nade wszystko pomarańczowy posiniały. W innych kolorach nie zauważył zmiany.

Coś mi się wydaje, że cień księżycy w atmosferze ziemskiej nie jest chyba kompletnie czarny, ale raczej granatowy i że wstrząsające efekta świetlne, jakieśmy widzieli pomimo chmur, *zależą* w części od blasku korony słońca (barwy rude i miedziane), w części od koloru owego cienia (powszechna siność).

To by wskazywało, iż efekt zaćmień można by odtworzyć w teatrze lub na płótnie, ale że w naturze żaden pochmurny dzień czy noc nie da o nich pojęcia. Największemu bowiem zachmurzeniu zawsze będzie brakować posępnego cienia księżycy i zapewne, nieweselszego światła korony słonecznej.

Na zakończenie uroczystości, p. Rakowski na jednej stacji zabrał z nas wszystkich kieszonkową fotografię. Jeżeli więc zobaczycie kiedy u obraźników wizerunki z podpisem: Kolumb, Newton, Herszel itd., dowiedźcie się, że uzmysławiają one nasze wdzięki cielesne.

Po dopełnieniu tej ostatniej formalności staliśmy się na powrót zwyczajnymi śmiertelnikami i kto by nas dziś spotkał na ulicy, nie poznałby nawet przez mikroskop, że patrzy na mężów, co w dniu 19 sierpnia przyozdabiali swymi kształtami mławskie pagórki.

